

DLACZEGO ZAPOMNIELIŚMY O KORZENIACH?

Krzysztof Ziemięc

Dziesięć lat temu – 1 maja 2004 roku – Polacy obudzili się w nowej Europie. Naszej akcesji do UE towarzyszyły przemówienia i huczne uroczystości. Były koncerty, pikniki, a o północy w blasku sztucznych ogni i przy dźwięku „Ody do radości” Beethovena na masztach załopotwały gwiazdziste flagi.

Dla większości polityków było to spełnienie marzeń. Dla tych bardziej cynicznych – także wielka ulga, że brukselska biurokracja stanie się wreszcie dobrym usprawiedliwieniem dla ich nieudolności. Wielu Polakom towarzyszyła jednak nieklamana radość. Ten dzień odbierali jako ukoronowanie ich nadziei, starań i wyrzeczeń.

A po dekadzie? Oficjalnych uroczystości było sporo. Jeszcze więcej proeuropejskich przemówień, które doskonale da się wpleść w trwającą właśnie kampanię wyborczą. Wszak nie od dziś wiadomo, że Bruksela to świetna trampolina nie tylko do prywatnej kariery i ponadprzeciętnych zarobków, ale także – sympatii wyborców. Tak proeuropejsko nastawionych obywateli jak Polacy trudno bowiem znaleźć na naszym kontynencie. Część polityków tak się w tej miłości do Europy zatraciła, że aż rację zdaje się mieć posłanka Beata Kempa, nazywając to zjawisko „euroforią”. Nietrudno też zauważyć, że rocznicową narrację zdominowała kwestia unijnych funduszy. A gdzie korzenie? Gdzie wartości, na których to wszystko, co nazywamy zjednoczoną Europą, się opiera? Są gdzieś jeszcze, czy dawno już o nich zapomnieliśmy?

Jeszcze niecałą dekadę temu wielu publicystów i zwykłych obywateli upominało się o unijny solidaryzm. Dziś jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że członkostwo w Unii zaczęliśmy traktować jak dostęp do bankomatu, jakim są fundusze. Nie chcę powiedzieć, że fundusze są złe albo że niewiele nam dały. Dały nam naprawdę sporo. Rację ma Janusz Lewandowski, nazywając je „turbodoładowaniem” dla naszej zaradności. Wystarczy przytoczyć dane: wstępując do Unii, Polska była na poziomie ponad 40 proc. średniej unijnej PKB na głowę. Teraz jest na poziomie 67 proc. Choć prawdą zapewne jest i to, że największy wzrost dochodów został przechwycony przez relatywnie niewielką grupę osób. Dysproporcje w dochodach obywateli są u nas większe niż np. u Czechów.

Ale czy stan zamożności może być jedynym europejskim spoiwem? Dla wielu z nas wciąż ważne są przecież wartości zawarte w Dekalogu. A są to te same wartości, na których została zbudowana europejska cywilizacja, Europejska Wspólnota Węgla i Stali, potem EWG, a w końcu UE. Dziś jednak Europa systematycznie traci swoją duchowość i swego ducha. Unię osłabił nie tylko kryzys finansowy, ale przede wszystkim kryzys wartości. I nie chodzi mi tylko o coś, co Kościół nazwałby kryzysem moralności. Chodzi mi o duchowy i czysto ludzki, braterski suplement, o solidarność. Czym bowiem jest solidarność? To – jak mówił nam Ojciec Święty na gdańskiej Zaspie w 1987 roku – „jeden drugiego brzemiona noście”. Wówczas słuchaliśmy go niemal wszyscy. Dziś – dla wielu to nic nieznaczące słowa. Z nauk papieża Jana Pawła II, do którego grobu tak licznie pielgrzymowaliśmy dwa tygodnie temu,

nie pamiętamy niemal nic. Nie tylko politycy, ale i zwykli obywatele wolą odwoływać się do innych myślicieli, trendów i prądów. Do korzeni i fundamentów... odwołujemy się coraz rzadziej albo wcale. Abp Józef Michalik trafnie nazwał to „schizofrenią ducha”.

Dla wierzących takim fundamentem jest Chrystus. Dla niewierzących – czy tego chcą czy nie – jest nim chrześcijaństwo. To chrześcijaństwo dało bowiem moralne podwaliny dzisiejszej Europie, a nawet szerzej zachodniej cywilizacji. To Kościół przez wieki zachowywał głęboką więź ze strukturami państw, kulturą i nauką. To on kształtował kolejne pokolenia. Zatem wezwanie Jana Pawła II: „Europo, bądź na powrót sobą, odkryj na nowo swe źródła, ożyw swoje korzenie, odnajdź swoją duszę”, wydaje się wciąż aktualne.

Wiem, że wizja Europy zjednoczonej w Chrystusie nie przez wszystkich jej członków została by entuzjastycznie przyjęta. Chciałbym jednak, żeby stała się ona wyzwaniem chociaż dla chrześcijan. Czyż nie o to prosił nas Jan Paweł II? Czyż nie chciał, byśmy dali tej starej i sytej części kontynentu nowy impuls?

Wiara jest dziś wymagająca, może bardziej niż 30 lat temu. Wymaga odwagi i zaangażowania. Ale czyż nie warto się zaangażować? Nawet ludzie dalecy od wiary zgodzą się chyba z tezą, że państwo i jego siła oparte tylko na cyferkach to zbyt mało. Siłą państwa są – tak jak w rodzinie – więzi duchowe i system wartości.

W wielu nawet tanich hotelach na Zachodzie w pokojach leżą (jeszcze) egzemplarze Biblii. Do nas ten zwyczaj jakoś nie dotarł i pewnie już nie dotrze. Ale może w zamian każdy gość powinien otrzymywać teksty najważniejszych homilii Ojca Świętego. Dziś na polityczne i gospodarcze rewolucje nikt już nie ma ochoty. Jedynym przekazem, który jest jeszcze w stanie kogokolwiek poruszyć, są słowa zostawione nam przez papieża. Może więc pozwolą nam one zaufać i z większą nadzieją patrzeć na przyszłość Starego Kontynentu.

To powinno być wyzwanie na drugą dekadę naszej obecności w Unii Europejskiej. Jan Paweł II takie zadanie nam zostawił. A któż jak nie święci mają moc, żeby dodawać sił nam, małuczkim?

WYKORZYSTANO: RZECZPOSPOLITA